Ner 18. Kraków 4 maja 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 zlr. 20 c. *półrocz.* 3 zlr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *T. Kochańskiego*.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można za pośrednictwem wszystkich księgarń.

☞ Przy dzisiejszym Nrze załącza się dla Prenumerujących **mody, kroje** i drugi arkusz **Biblioteki dla kobiet.**

Kartki o wychowaniu.

przez

Teresę Jäpner.

VI.

(Dokończenie.)

Tyle doświadczeń, przygód, zawodów, rozmaitych nieszczęść czekają każdą kobietę w życiu, że wychowanie jéj moralne wymaga w istocie więcéj trudu i delikatności jak mężczyzn. Fenelon zaleca pracę jako najskuteczniejszą ochronę i lekarstwo, pracę nietylko umysłową, ale owszem i ręczną. Praca urozmaicona zajmuje, rozrywa, wypełnia próżnią wiadomości, a potém oddziaływa przeciw przykrościom i znudzeniu życiem, wtedy gdy umysłowe talenta nieraz jeszcze tylko wzmagają boleści choréj duszy. Myśl wiecznie czynna leci daleko, pochłania, trzeba ją ukrócić, trzeba hamować fantazje, które się mogą roztrwaniać w bezładne marzenia, jeżeli umysł nie szuka uspokojenia w zatrudnieniach właściwych płci. Chwilom smutku i melancholii odpowiada wielce rysunek, malowanie; dla usposobień leniwych, ciężkich skuteczną jest muzyka; głowy lekkie niechaj zajmująca lektura wiedzie po drogach kwiecistych do celów dobrych i pożytecznych, wobec których zpoważnieją. Podczas pogadanki rodzinnéj, wieczorem, gdy wszyscy domowi są już razem, cóż wtedy przyjemniejszego jak wspólne czytanie, podczas którego ręce kobiet robótkami są zajęte.

Słusznie mówi jeden moralista naszych czasów: podajcie kobietom dobrą i piękną stronę umiejętności, sam bukiet, bez stron uciążliwych i przykrych, a podajcie skrzętnie, iżby kiedyś towarzyszki wasze nie były obcemi temu, co wy znacie i czém się zajmujecie.

A oprócz pracy ręcznéj i umysłowéj nie zaniedbujcie ćwiczeń ciała. Wymaga tego zarówno zdrowie, jak i estetyka kształtów. Zaniedbano dzisiaj zupełnie téj strony w wychowaniu i zaniedbanie to mści się następnie przeliczonemi dolegliwościami. Jedynie taniec bywa uprawiany, ale taniec w trzewiczkach zanadto obcisłych, ze stanikiem, który bierze całą postać panienki w kleszcze torturowe ze szkodą płuc i żołądka — to tylko niezdrowa zabawa, a nie ćwiczenie *).

VII.

Wychowanie staranne powinno wykorzeniać od dzieciństwa wszelkie nierówności humoru, kaprysy, złostki i t. p., inaczéj odnajdą się one spotęgowane w późniejszém życiu, a nienatrafiając już wtedy na pobłażanie rodzicielskie, ale na obojętność, surowość lub szyderczy uśmiech, pociągną za sobą gorzkie i palące łzy, które siły życia pożérać będą w daremnych walkach. Aby sobie zapewnić spokój i szacunek, nie dosyć żeby kobieta miala dobre serce, gotowe do zmęczeń, ale nadewszystko niech się uzbroi w słodycz, cierpliwość, niechaj w gorącéj wierze szuka podpory, niechaj litość nauczy ją przebaczać, a rezygnacja niechaj ją ucisza i pociesza. Precz, precz z owym chorobliwym stanem zapoznania, z owemi skargami, że się nie jest zrozumianą przez ludzi, precz z owém zapadaniem w apatją. Wypełniajcie obowiązki codzienne, zajmijcie się biednymi materjalnie i biednymi umysłowo, zstąpcie do nich, a oni was zawsze zrozumią, ani czas, ani życie dłużyć się wam nie będzie; a nie ma takich stosunków, w którychby nie można oddać się pracy dla drugich. A pamiętajcie zresztą, że pracując dla prostaczków i ubogich na duchu, pracujecie dla kraju. Oto zawód obywatelski dla was, nie głośny, nie obfity w wawrzyny; ale owoce jego zbierać będzie sumienie wasze i rosa błogosławieństw i cichych wdzięczności będzie skrapiać skroń waszą. Wierzajcie, że miłość i poświęcenie, które kobiecie są wrodzone, są dla społeczeństwa największą ochroną przeciw demoralizacyi, przeciw materjalizmowi i czci złotego cielca, która wszelkie ludzkie uczucia tępi i niweczy. Wierzcie temu, a powodując się w życiu tą wiarą, idźcie naprzód śmiało i dumnie, wśród łez i śmiechu zawsze spokojne, czyste i naturalne....

*) W przedmiocie tym zamieścimy wkrótce obszerniejszy artykuł p. Hipolita Witowskiego. — (Przy. red.)

Oczekiwanie.

Czy znasz to słowo cięższe od kamienia
Kiedy je serce dźwiga, i co chwila
Drząc niespokojnie zbyć się chce brzemienia,
Lecz nadaremnie w walce się wysila?

Czy znasz to słowo, które czas przetwarza,
Czas lekkonogi w żółwia leniwego,
Każda godzina dzwoniąc je powtarza,
Choć myśl odpycha przypomnienia jego?

Czyś słowa *czekać*, zbadał już znaczenie?
Wiesz ty, że czekać jestto obumierać,
I znów się budząc nagle z odrętwienia
Myślą obawy i nadzieje zbierać?

Czekać i czekać, słuchać, a oczyma
Jasnego punktu szukać wśród ciemności,
Pływać po morzu, które brzegów nie ma
Z przeczuciem w duszy o nieskończoności?

A jednak czekać jest potrzebą życia,
Bez odpoczynku człowiek wyczekuje, —
Marząc o szczęściu czeka od powicia,
Idzie czekając, aż swój grób znajduje.

Amelija P.

Wygnanie.

Żyć, lub nie żyć, rzecz to mała;
Przecież umrzeć kiedyś trzeba,
I myśl w wieczność patrzy śmiała,
Dusza dąży wciąż do nieba;

Lecz samotnie żyć na ziemi,
Bez nadziei bez pociechy,
Jak duch błądzić, i za swemi
Patrzeć w dal z pod obcéj strzechy,
Gdy tam, serce się wyrywa,
A tu, los się wstrzymać sili,
To już żyć się nie nazywa,
Lecz umierać w każdéj chwili.

Amelija P.

Tragedyja grecka w góralskiéj chacie.

(SZKIC POWIEŚCIOWY)

osnuty na prawdziwem zdarzeniu.

(Dokończenie.)

Następnego roku wypadło mi znowu być w tamtych stronach. Nie omieszkałem zapytać się księdza o Marcina i jego córkę.

— O weseléj teraz w ich chacie — rzekł — szczęście zajrzało do niéj, jak promień słoneczny przez szczelinę. Straszny wypadek ze starą waryjatką choć chwilowo bardziéj odstręczył ludzi od téj rodziny — potém ich zbliżył, bo wszyscy są tego przekonania, że z tą katastrofą spełniło się przekleństwo cyganki. Stary Marcin rozruszał się i rozpogodził trochę – nawet powiem ci więcéj — Hanka idzie za mąż, już wyszły pierwsze zapowiedzi.

— I za kogóż?

— Za leśnego porębskich lasów. Przystojny chłopiec i dzielny strzelec. Jest to wychowaniec naszego dziedzica i ulubieniec jego. Był na obsługach u niego na Ukrainie — a teraz go tutaj przeniósł do lasów, bo chłopiec namiętnie lubi lasy i strzelbę. W parę miesięcy po objęciu tutaj służby poznał się z Hanką i nie uważając na ludzkie gadania, oświadczył się o nią. — Zdziwisz się nie mało, gdy ci powiem kto on jest. Gdy przyszło do zapowiedzi, pokazała się trudność z wyszukaniem metryki. Napisaliśmy więc do dziedzica na Ukrainę o miejsce urodzenia i inne szczegóły tyczące się chłopca, i wyobraź sobie moje zadziwienie kiedy dostałem list, w którym... Poczekaj, mam go gdzieś między mojemi papierami — masz, czytaj.

Wziąłem list, który był w tych słowach:

„Kochany księże dobrodzieju!

„O miejscu urodzenia Stacha Znaima nie pewnego „donieść nie mogę. Wracając raz od was tu na Ukrai„nę spotkałem na drodze do Krakowa małe cygańiątko „o kędzierzawych włosach, które z krzykiem leciało za „mną prosząc o coś. Sądziłem, że chce jałmużny i rzu„ciłem mu ją. Ale kiedy chłopak nie przestawał krzy„czeć i biedz za mną, kazałem zatrzymać konie i za„czekałem na niego. Łamanym cygańskim językiem wy„tłomaczył mi mały, że jego matka czy babka zasnęła „i mówić nie chce do niego, choć ją woła i trzęsie nią „i pokazywał mi ręką odległy budynek. Poszedłem za „nim ku ruderze, która pustką stała po spaleniu. Tam „wśrod gruzu i chwastu zobaczyłem starą, paskudną „cygankę — nieżywą. Próżno było ją cucić, bo o ile „poznać można było, stara już od paru dni nie żyła, „a chłopiec siedział przy trupie nie mogąc pojąć śmierci „i biorąc ją za sen mocny. Kazałem więc trupa w po„bliskiéj wiosce pochować, a dziecko wziąłem ze sobą. „Polubiłem potém tego chłopca, był pilny, przywiązany „i sprytny, a że niezbyt na cygana wyglądał, zataiłem „przed ludźmi jego pochodzenie, by go nie narażać na „uszczypliwe docinki czeladzi.

„W takim stanie rzeczy trudność a raczéj niepodo„bieństwo jest odszukać jego metrykę; obejdź więc „kochany księże tę formalność i nie stawiaj mu prze„szkody w małżeństwie, bo jak słyszę, chłopak się nie „na żarty zakochał w waszych stronach. Wolałbym „żeby go która Rusinka za serce chwyciła, ale darmo.

„Takie widać przeznaczenie. Pobłogosław ich więc księ-„że — a odemnie przyjmij wyrazy szacunku“ i t .d.

— No domyślasz się teraz kto jest ów Stach? — spytał mnie ksiądz po przeczytaniu listu.

— Miałżeby być synem owego cygana...

— Najprawdopodobniéj — wszystko się zgadza z moim domysłem.

Właśnie w kilka dni po odejściu cyganów, dziedzic wracał do dóbr swoich na Ukrainę, jest więc wszelkie prawdopodobieństwo, że stara cyganka oddzieliwszy się od bandy z powodu choroby syna, tułała się po jego śmierci w téj okolicy, że potém sama w skutek starości umarła, a Opatrzność zesłała jéj wnukowi opiekuna. — Tobie tylko jednemu zwierzam się z tym domysłem — oni nie powinni wiedzieć, jakie tajemnice ich łączą. Widocznie tak zapisane było w księdze przeznaczeń, aby ci młodzi swoją miłością zatarli winy ojców.

— Dziwnie misterna plątanina przeznaczeń — rzekłem i zadumałem się nad losami narzeczonéj pary; pragnąłem ją co rychło zobaczyć. Drugiego więc dnia wybrałem się zaraz do chaty Marcina.

Zastałem górala z przyszłym zięciem siedzących przed domem i rozmawiających.

— Nie poznajecie mnie? — spytałem widząc, że Marcin pytająco patrzał się na mnie.

Wachał się co odpowiedzieć.

— Łońskiego roku byłem w tych stronach.

— A, to wy panie, tak krótko widziałem was wtedy i w tak smutnéj chwili. Ale teraz Bóg nas pocieszył — weseléj nam tu teraz. Siadajcie panie, nie znudzicie się teraz tak jak dawniéj. Stach mi tu dziwy opowiada o téj Rusi.

Marcin mówiąc to, miał twarz ożywioną, rozpogodzoną i z przyjemnością zatrzymywał wzrok na Stachu. Spojrzałem i ja uważniéj. Znalazłem chłopaka wcale przystojnym — młokos był jeszcze i bez zarostu, ale czarne oczy ożywiały twarz smagławą i spaloną słońcem. Ruchy jego zdradzały krew gorącą, wschodnią, przynajmniéj tak mnie się zdawało, który znałem tajemnicę jego urodzenia. Niezadługo wyszła z chaty Hanka. Gdy mnie zobaczyła, poczerwieniała i spojrzała ukradkiem na Stacha. Ślicznie było téj bladéj dziewczynie z rumieńcem, ten rumieniec dawał znak o jéj życiu; przedtém wydawała mi się jak lunatyczka z martwą twarzą, smutek jéj i spokój miały coś okropnego, demonicznego w sobie. Teraz szczęście i uczucie rozgrzało ją i roztopiło te lody, w których spała dusza zaklęta. Siadła obok ojca i słuchała opowiadań Stacha, który żywo opowiadał im o zabawach ludu ruskiego.

— Toś tam musiał się weselić nie mało? — spytał Marcin.

— Nie, wiecie co, że nie. Trudno mi było przywyknąć do ludzi i ziemi.

— A toś przecie z tamtych stron.

— Tak mówią.

— Bo widzi pan, on sierota, — tłomaczył mi Marcin — nie ma ani ojca, ani matki, ot, tak sam.

— Nie uwierzycie mi może, gdy wam powiem, że mi wasze góry wciąż na myśli stały, że cnęło mi się bez nich. Nie wiem zkąd i czemu — a przecież gdym tu przyjechał, to mi się zdawało, że do domu wracam, i zdawało mi się żem kiedyś, gdzieś widział już te strony, nie były mi wcale obce.

— A to dziwy, rzekł stary — to może i ona nie była ci obcą.

— Ej, co téż tatuś nie gadają — rzekła zaploniona Hanka i zakryła się fartuchem przed oczami patrzących. Cygana oczy tryskały ogniem, gdy patrzały na nią. A przytém miały w sobie coś rzewnego i tęsknego.

Szczęście było wśród tych ludzi — czułem się zbytecznym, zawadzać im musiałem. To téż nie bawiąc długo, pożegnałem ich i wróciłem do domu. Odchodząc, upominałem żartem Hankę, by nie zapomniała prosić mnie na wesele.

Nie upłynęło może pięć dni od tego wieczora, gdy raz siedząc przy oknie zobaczyłem Hankę biegnącą szybko ku plebanii. Na twarzy jéj malowało się jakieś gwałtowne wzruszenie, włosy miała bezładnie rozrzucone. Gwałtownie zabiło mi serce, przeczuwałem jakieś nieszczęście. Nagle drzwi się otwarły, góralka wpadła do pokoju zdyszana i rzucając się do kolan księdza, zawołała:

— Ratujcie, tatusia mojego pies wściekły pokąsał.

Ksiądz, który był po trochu lekarzem, dobył szybko lekarstwa z szafy i pobiegliśmy za Hanką. W ciemnéj izbie leżał Marcin ze skrwawioną nogą — nikogo nie było koło niego, bo ludzie zlęknieni uciekli. Ksiądz czemprędzéj dobył kamienia piekielnego i wypalił ranę.

— I cóż? — spytałem go po łacinie.

— Wątpię w skutek, wypalenie zapóźne.

— Więc umrze?

— Toby było najmniejsza, ale obawiam się skutków choroby. Trzeba dać znać do miasta.

— A gdyby go przywiązać?

— Nie, to byłoby okropnie. Atak może czasem nastąpić w kilka dni, a onby się zawczasu musiał męczyć tą myślą. Toby było nieludzko. Słuchaj, ja jadę do miasta po doktora, by stanowczo dał zdanie, ty tymczasem staraj się nieznacznie oddalić z izby i drzwi zaprzyj za sobą. To będzie bezpieczniéj.

— Jedź więc i wracaj — rzekłem, a Hankę wyprowadź z chaty. Gdzież Stach? — onby nam się przydał teraz.

— Stach w lasach poluje z rządcą.

Przez ten cały czas naszéj rozmowy, która jak powiedziałem, odbywała się po łacinie, chory patrzał nam w oczy. Nie rozumiejąc słów, chciał z oczów wyczytać

nam wyrok swego życia, lub śmierci; odejście księdza obudziło podejrzenie w jego duszy.

— Paniczu, zlitujcie się, powiedźcie mi prawdę!

— O czém? spytałem udając, że nie wiem o co rzecz chodzi.

— Prawda, że nie ma ratunku? O! sprawdziło się przekleństwo cyganichy. Mój Boże i to w takiéj chwili, kiedy człowiek trochę odetchnął po nieszczęściu, kiedy poczęło mi już być dobrze.

Załamał ręce, aż stawy zachrupotały i rzucił się na łóżko.

Pocieszałem go jak mogłem, mówiłem, że znałem wielu ukąszonych od psa popsutego, a żyją zdrowi, że inna rzecz, gdyby rany nie wypalono, ale teraz nie ma się czego obawiać. Nie przekonałem go jednak, mało mnie słuchał nawet, on słuchał własnych myśli okropnych, rozpacznych, bo aż rękami zasłaniał oczy, by ich nie widzieć.

— Paniczu, paniczu — to będzie okropnie, kiedy przyjdzie na mnie ta zła chwila i ja będę latał po wsi, a ludzie chować się będą po chatach i rzucać na mnie kamieniami. Och Jezu! Jezu! — Zginiesz jak pies — mówiła cyganicha — och! —

Wzdrygnął się cały i skulił jak robak w kłębek.

— Kto w Boga wierzy, niech mnie zabije, żebym nie doczekał téj chwili. Paniczu, jeżli wy macie trochę litości — zabijcie, bo ja się boję téj chwili — latać po wsi, kąsać i być tłuczony kamieniami.

— Nie bądźcie dzieckiem Marcinie — perswadowałem, nie bluźnijcie. Toż ksiądz nie byłby was odstępował, gdyby widział, że źle z wami.

To go trochę uspokoiło.

— Tak mówicie — spytał podnosząc się, że nie byłby mnie odstępował? Prawda, nie byłby tego zrobił. Ha, może też nic się nie stanie; dałby Bóg, jabym tak chciał żyć, patrzyć jeszcze czas jakiś na szczęście mego dziecka.

Tu począł rzewnie płakać — nagle urwał i zamyślił się głęboko.

Korzystałem z téj przerwy — pod pozorem więc, że może będzie spał na chwilę, wydaliłem się z chaty i drzwi z cicha zaparłem za sobą. Przed domem stała Hanka oparta o ścianę, blada, z dzikiém zamyśleniem w oczach. Gdy mnie ujrzała wychodzącego chciała wejść do chaty pilnować ojca. Z trudnością wstrzymałem ją perswadując, że ojciec chce spać, że usnął nawet, choć słyszałem od czasu do czasu jęczenie i konwulsyjne niecierpliwe rzucanie się po łóżku.

W takiém oczekiwaniu upłynęła dobra godzina. Od strony wioski podniosła się kurzawa, dojrzałem bryczkę pędzącą, a w niéj księdza z doktorem. Równocześnie z wnętrza chaty usłyszałem mocne uderzenie do drzwi, które się niebawem powtórzyło. Za chwilę usłyszałem brzęk upadających szyb i przez rozwalone okno wyleciał nieszczęśliwy Marcin, spieniony i dziki i puścił się czwałem do wsi.

We wsi przy drodze bawiło się kilkoro dzieci, obok nich siedziały dwie góralki z szyciem białém, zapewne matki. Na tę gromadkę prosto leciał wściekły człowiek.

— Uciekajcie — zawołałem co sił stało i ksiądz to samo powtórzył, ale trudno było zebrać spłoszone i zatrwożone dzieci, trudniéj jeszcze uciekać, powstał więc lament i zamięszanie. Chłopi z drągami lecieli od wsi na pomoc. Wtém na wzgórku pokazał się Stach ze strzelbą.

— Wściekły, wściekły — wołali ludzie uciekając — strzelaj, strzelaj, bo to wściekły, ratujcie! —

Stach zmierzył się i strzelił — nie wiedząc do kogo. Strzał był dobry, wściekły człowiek zachwiał się i upadł na ziemię.

Reszty opisywać nie widzę potrzeby.

Zwarzeni i struci tém cośmy widzieli, wróciliśmy z księdzem na plebaniją, długi czas nie mogąc się zebrać na słowo. Wreszcie ksiądz się odezwał:

— Okropny wypadek, widziałeś z czyjéj ręki padł strzał?

— Stach strzelił.

— Syn cygana, którego Marcin kopnął nogą i nie dał mu skonać spokojnie na łące.

— Dziwne zrządzenie.

— I cóż się stanie teraz z młodą parą?

— Trudno, by córka szła za zabójcę ojca. Nie dam ślubu. Lepiéj, że dziewczyna zmarni się w panieństwie, na niéj niech się skończą straszne nieszczęścia téj rodziny — nieszczęścia prawie nieprawdopodobne. Widocznie cały ród ten skazany był na zatracenie. Niech ona będzie ostatnią ofiarą.

W kilka lat późniéj dowiedziałem się, że Hanka umarła na suchoty. Na jéj grobie kazał ksiądz położyć piaskowy kamień z tym napisem:

Tu leży Anna Palikowna,
umarła w dwódziestym roku życia swego.
Życiem pełném zmartwień przebłagała niebo za winy ojców.
Pokój jéj! —

Maryjan P....

Z PRZYRODY.

Djamenty.

(Dokończenie).

Nowszemi czasy rozgłoszono równie wieść o odkryciu sposobu robienia djamentów, wynalazcą był pewien Francuz. Ten utrzymywał, że biorąc gaz siarkowęglowy i fosfor, otrzymuje się wydzielenie gazu węglowego w kryształach. I o tém można łatwo mówić, ale w rzeczywistości widzimy, że fosfor rozpuszcza się z łatwością w gazie siarkowęglowym, ale przy ulatnianiu ga

zów sam się tylko krystalizuje. Jakiekolwiek wynaleziono dotąd sposoby robienia sztucznych djamentów, są to tylko twarde szkła, czyli łącznik krzemionkanu.

Jakim sposobem djamety się tworzą, dotąd jeszcze nie docieczono. Od paru lat znajdują w prowincyi Bahia znaczną ilość czarnych, a więc niezupełnie skrystalizowanych djamentów, i te są w handlu pod nazwiskiem Carbonatów. Zdają się one być mięszaniną z węglem. Posiadają twardość zwykłych djametów i przez szlifowanie nabierają połysku. Można więc może będzie zbadać stopniowe przejście krystalizacyi djamentu i przez troskliwe poszukiwania dojść sposobu ich formacyi.

W r. 1857 profesor chemii Wöhler w Getyndze, z francuzkim chemikiem Deville robiąc próby nad sposobem utworzenia nowego metalu, glinu *(aluminium)*, zrobili przypadkowe a znakomite odkrycie, bo otrzymali produkt, mogący zastąpić prawdziwy djament.

Że krzem(bor) ma pewne chemiczne podobieństwo z gazem węglowym, wiedziano o tém dawno, ale niepróbowano, ten ciemno-brunatny zielony proszek, przemieniać w kryształy, podobne do grafitu lub djamentu. Przy robocie glinu doszli wspomnieni chemicy do utworzenia takich kryształów.

Te tak sztucznie otrzymywane kryształy krzemu, mają tak wielkie z djamentami podobieństwo, że słusznie mogą być z niemi porównywane, nawet niektóre z głównych własności djamentu o wiele przewyższają. Takie kryształy krzemu posiadają nietylko taki sam połysk i łamanie światła, ale nawet daleko twardszemi są od djamentu. Wiadomo jest, że djament był dotąd ciałem najtwardszém, rysować niém można korund, czyli wschodni rubin, który po djamencie do najtwardszych ciał się liczy. Proszkiem z kryształu krzemu, nietylko że można szlifować daleko prędzéj rubin i djament, ale proszkiem djamentowym nie można ani rysować, ani szlifować kryształu takiego, na to potrzeba jego własnego proszku. Także i to jest uwagi godne, że kryształ podobny nie jest palny. Wystawiony na działanie największego ognia, ten zdoła tylko jego powierzchnią opalić.

Jedyną rzeczą, któréj dotąd jeszcze nie doszli jest, że nie otrzymują bezbarwnych takich kryształów, tylko same kolorowe. Wszystkie dotąd robione mają kolor, albo granatowy, albo czerwony jak hiacynt, albo téż żółty jak miód. Z pewnością jednak rachować można na to, że z czasem dojdą i do sposobu robienia bezbarwnych i czystych djamentów.

Po djamentach największą wartość ma korund i z jego rodzaju rubin i safir. Pierwszy ma kolor czerwony, drugi niebieski lub zielony, a obydwa posiadają jeszcze różne odmiany tych farb. Dosyć jest także ceniony korund, jeżeli jest czysty jak woda, ale przeźroczysty, nazywa się Luchssafir, a jeżeli jest żółtawy, Topazem. Czasami trafia się jeszcze widzieć w jednym krysztale różne kolory, lub promienie niebieskawe, ciągnące się w sześć stron od środka; taki nazywają znów gwiaździstym safirem. Prawdziwy korund w różnych swych odmianach znajduje się na wyspie Cejlon, w Chinach, w Izar nad Renem, w Saksonii, Francyi i północnéj Ameryce.

Szlachetny korund właściwie ma dwie główne odmiany, pierwsza o któréj już mówiliśmy, jest przeźroczysta, druga więcéj pospolitą i w takich samych kolorach, ale kolory te są mętne, nie przeźroczyste, nie liczy się téż ten rodzaj do szlachetnych, czyli drogich kamieni. W tym rodzaju dwie odmiany zasługują na uwagę: korund brunatny, który czasami niebieskawe ma promienie i nosi nazwę Diamantspath i niebiesko-szary raczéj brudny, nazwany szmirgel. Pierwszy znajduje się w Chinach i Malabar, drugi w Syberyi, Granadzie, na wyspie Naxos, w Smyrnie, w małéj Azyi i górach kruszcowych w Czechach. Szmirgel sproszkowany używają przy szlifowaniu i polerowaniu, za najlepszy do tego użytku uważają szmirgiel z wyspy Naxos. Kopalnie szmirglu są tam tak znaczne, że czynsz dzierżawny opłacany rocznie rządowi, wynosi 21.244 r. w. a. Szmirgel znajdują w tych kopalniach w wielkich blokach, jest tak twardy, że zwykłemi narzędziami żelaznemi nie można go rozbić. Rozkładają więc wielki ogień, a potém rozpalone kamienie, polewają zimną wodą, przez to rozpada się blok, tworzy szpary i ułatwia rozdrobnienie. Ostatniemi jednak czasy szmirgel z małéj Azyi, więcéj jest sprowadzanym, dla bliższego transportu, choć nie jest tak twardym, jak wyspy z Naxos.

Dawniéj kiedy rozbiory chemiczne nie były tak wydoskonalone jak dzisiaj, nie myślano nawet o tém, ażeby glinę krystalizować, zadawalniano się tém, że szkłu nadawano kolory drogich kamieni. A chociaż przy takiém naśladownictwie nie można było te szkła stawiać na równi z prawdziwemi kamieniami, bo nadanie ich własności szkłu jest rzeczą niemożebną, to i tak przez to naśladownictwo skorzystano na podniesieniu fabryk szkła, które we Francyi i Czechach znaczny zrobiły postęp.

Dziś jednak inaczéj się rzeczy mają. Bo chociaż chemija nie osiągnie sposobu robienia złota, to jednak sztuczne naśladowanie drogich kamieni, nie jest więcéj marzeniem alchemistów, ale rzecz ta coraz więcéj dociekana więcéj nabiera wagi. Doszli już sposobu robienia z gliny korundu, a nawet do tego ani tak znacznych nie potrzebują kosztów, ani tak wielkich przyrządów.

Kolorowe kryształy otrzymują daleko lepsze, aniżeli bezbarwne. Rubiny jakie zrobili chemicy Deville i Caron są tak wielkie, jak prawdziwe, mają pół cala długości; lecz wszystko co o bardzo wielkich prawdziwych kamieniach głoszą, policzyć można do bajek. Wymienieni chemicy nietylko, że naśladują prawdziwe kamienie, ale tworzą i takie, które się w stanie natury nie znajdują, jak zielono-szmaragdowy safir.

Ułatwiony więc jest sposób zakładania fabryk do robienia kamieni; wydoskonalenie niezawodnie nastąpi z czasem. A chociaż dotąd technicy nie rozpoczęli tego, to przecież spodziewać się należy, że to nastąpi, tym więcéj, że zarobek przy tém może być znacznym. Tyle jest pewném, że wartość prawdziwych kamieni znacznie spadnie, a chociaż wielu posiadaczy prawdziwych kamieni narzekać może na takie rezultaty chemii, widząc znaczne obniżenie swych klejnotów; na to wszystko nauka zważać nie może, idzie ona wytkniętą drogą, mając na celu dobro ogółu. Wyrabia ona klejnoty, które nie dla wszystkich były dotąd dostępne. Przez to pojęcie piękna się podniesie, sztuczne klejnoty takimże samym jak prawdziwe błyszcząc ogniem, będą znacznie tańsze i dostępniejsze *).

Z wystawy powszechnéj. 27go t. m. godzina 9 minut 20 nadszedł do Krakowa z Paryża następujący telegram: *Mr. Matejko peintre à Cracovie — Pan dostal na swoi obras premier prix. Engert membre du Jury.* — Zapisujemy z dumą ten triumf polskiej sztuki. Nagrodę pierwszą, którą w swoim czasie dostał sławny Cornelius, stanowi złoty medal. Sam telegram jest może pierwszym jaki z Paryża w języku polskim wysłano.

Cztery odczyty o „Dancie i jego poemacie" poprzedził odczyt Dra. Oetingera, traktujący o „Przesądach lekarskich". Dr. Oetinger wykazał historycznie, jak u różnych narodów i w różnych wiekach powstawały przesądy lekarskie i z jakich powodów. Na pierwszém miejscu położył przesądy religijne, do których prowadzi dziecinna wiara powstających narodów. W Indyjach, Chinach, Egipcie, a nawet u Greków i Rzymian lekarzami są kapłani — modlitwy lekarstwem najskuteczniejszém, a kościoły jedynemi lecznicami. Mityczny Eskulap, Hypokrates i Galen rozjaśniają nieco nauką, opartą na doświadczeniu, ciemności przesądów lekarskich — ale wieki średnie znowu w tę ciemność popadły. Mało dbano o grzeszne ciało, choroby uważano za karę niebios, jako takie leczono postami, umartwieniem, modlitwą, a w końcu i zażegnywaniami. Alchemija, Astrologija i Magia, jak bujne chwasty krzewiły się wśród tych ciemności — o istotnéj, umiejętnéj nauce lekarskiéj nie ma mowy. Ta rozwinęła się dopiero w nowszych czasach, posiłkowana chemiją, rozwojem nauk przyrodniczych, wynalezieniem narzędzi optycznych, chirurgicznych, sekcyjami i doświadczaniami. Mimo to, ten wiek nie jest wolnym od przesądów, jużto dawnych, średniowiecznych, które w tradycyi się przechowały — jako też nowych, które lubo podszywają się pod nazwę umiejętności i systemów, są jednak niemniéj szkodliwemi i obłędnemi przesądami. Do takich policzył Dr. Oet. Mesmeryzm (magnetyzm zwierzęcy), naukę Hanemana (Homeopatyją) i system szpilkowania Baunscheita. Czy tym ostatnim słusznie lub nie należy się nazwa przesądów, zostawiamy to czytelniczkom, między któremi zapewne wiele znalazłoby się zwolenniczek tego, lub owego przesądu. Poważnemu wykładowi Dra. Oetingera nie brak było na humorze, dowcipie i ironii, co się wiele przyczyniało do jego ożywienia. I tak mówiąc o hoemopatycznym sposobie leczenia złego humoru zapomocą nieskończenie drobnéj, mikroskopicznéj cząstki złota — Dr. Oetinger dodał nawiasowo: że nie odmawia złotu własności sprawiania dobrego humoru, ale w bryle i w znacznéj ilości, nie zaś w homeopatycznych dozach, niedostrzeżonych okiem.

Niepodobna także pominąć przy téj krótkiéj wzmiance o odczycie Sz. Doktora — że wykład jego zalecał się czystą, piękną polszczyzną. Dziś, gdy dziennikarze, a nawet zdolni pisarze pokrzywili nam ojczystą mowę w cudzoziemskie zwroty, popstrzyli tysiącami obcych wyrazów — podobnie czysty język jak Dra. Oetingera, do białych kruków policzyć należy.

W poniedziałek dnia 29. kwietnia dała **pożegnalny koncert** p. Maryja ***Gruszczyńska***, z łaskawym współudziałem p. A. Zarzyckiego i Sz. Amatorów. W program koncertu wchodził Beethoven (Trio) — Mendelson (chór z Antigony) — Moniuszko (Polonez) — Chopin (Scherzo). Pod względem wyboru i wykonania koncert ten do świetniejszych policzyć należy. — Koroną koncertu a szczególniéj jego części wokalnéj był śpiew p. Gruszczyńskiéj. Głos artystki, który tyle razy zachwycał nas w Halce, w chwili pożegnania rozwinął się przed nami z brylantowym przepychem i z niezwyczajną potęgą. Jeżeli w Halce porywała nas gra artystki i śpiew pełen ognia i uczucia, to w koncercie, szczególniéj w aryi z opery „Huniady Laszlo" Erkla i w mazurku nieobjętym programem, podziwiać musieliśmy niesłychaną gymnastykę głosu, pokonywującego największe trudności i przerzucającego się z łatwością po obszernéj skali, dobywającego się z piersi z siłą olbrzymią, to znowu cichnącego w lekki, ledwie dosłyszany szmer. Tym ostatnim pożegnalnym śpiewem zwiększyła artystka naszą tęsknotę za młodziutką operą naszą, któréj była ozdobą.

O grze pana Zarzyckiego nie ma potrzeby mówić. Bo cóż zaważyć może kilka słów naszéj pochwały wobec tych pochwał, jakie dały mu zagraniczne dzienniki,

---

*) Niechcąc monotonnością nużyć Czytelniczek naszych, przerywamy na czas jakiś dalszy ciąg tego artykułu, tj. o srebrze i innych drogich kamieniach, aby módz podać w następnych numerach rzecz o „gwiazdach spadających" podług publicznego odczytu Dr. Karlińskiego.

kompetentniejsze w tym względzie. Poprzestajemy na przyznaniu się, że byliśmy porwani, zachwyceni.

Wspomnieć tu także musimy o teatrze amatorskim na cel dobroczynny w sobotę d. 27. kwietnia. Grano dwie komedyjki: „Godzina zalotów i Lepiéj późno jak nigdy“. Nie szczególny wybór sztuczek nagrodziła doskonała gra amatorów. We środę również na cel dobroczynny odbył się koncert, a którego ozdobą były dwa głosy żeńskie. Pochwały godną jest gotowość, z jaką nasze panie biorą udział we wszystkich tego rodzaju produkcyjach; pięknie i pocieszająco jest widzieć sztukę oddaną na usługi cierpiących; ale ośmielimy się zrobić tutaj małą uwagę, czy częste używanie tego sposobu nie szkodzi tak jednéj jak i drugiéj stronie, tj.: sztuce i celom dobroczynnym? Przebiegnijmy tylko pamięcią ostatnie trzy miesiące; ileż koncertów, teatrów, balów, odczytów — a wszystko na cele dobroczynne? A smutne, jednak prawdziwe doświadczenie uczy, że nigdy ludzie nie są tak oszczędni i nawet skąpi jak wtedy, kiedy idzie o dobroczynność i idąc na taki odczyt, koncert, teatr — mniemają łaskę tém wyświadczać sztuce i ubogim, zapominając o tém, że sami coś skorzystać mogą. Ztąd rodzi się zobojętnienie dla sztuki, któréj poczucie (nawiasem powiedziawszy) u nas jest jeszcze w kolebce — ztąd podobnego rodzaju przedstawienia i zabawy coraz mniej mają słuchaczów, a więc chybiają celu. Czyż nie lepiéjby było zasilać dobroczynne kasy dobrowolnemi ale peryjodycznemi, naprzyklad miesięcznemi datkami? Nie wielkie datki w ciągu roku więcéj przyniosą korzyści dla dobroczynnych celów, a dla dających mniéj znaczyć będą. W takim razie koncerta pojawiające się od czasu do czasu możeby więcéj miały interesu dla publiczności i nie z łaski tylko, ani przez grzeczność słuchanoby arcydzieł, nad któremi świat się unosi — i artyści pochlebniejsze niż dotąd wynosiliby zdanie o estetycznem wykształceniu Krakowian.

— **Kluby damskie w Londynie.** W wolnéj Anglii (tak pisała niedawno jedna autorka) są kobiety jedynemi niewolnemi stworzeniami. I nie brakło też zapaśników, żeby zgnieść to jarzmo. Piórem i atramentem walczyły Paladyny żeńskie, udawały się nawet do parlamentu i szturmowały do bram jego swojemi skargami. Lecz panowie posłowie byli zawsze głuchymi na te krzyki boleści, „uwolnijcie się same, wolali do nich, a będziecie wolne, wolności nie dostaje się w podarunku, zdobywa się ją“. Na zdobyczach wprawdzie kobietom nigdy nie brakło, po wszystkie czasy władcy świata byli niewolnikami u ich stóp, lecz to nie dosyć; bo kiedy zachwyt ochłódnie, uciekają oni do swoich klubów, grają, palą, boksują, nudzą się i czytają gazety. Tymczasem kobiety zostają w domu, także się nudzą, grają, czasem i palą, czytają 10tomowe romanse, piszą — lecz kluby są dla nich zamknięte — jest to odwieczny, nieprzeparty zwyczaj w Anglii. Cóż dziwnego, że postanowiły nareszcie przełamać tę zaporę?

Aby otrzymać „prawo klubów“, poczęły sobie w tém swoim zwyczajem bardzo podstępnie.

Już w r. 1834 *Lady Ashton* poruszyła myśl klubu kobiecego w tym celu, aby przyjść z pomocą biednym, osieroconym, rzuconym na ulicę dziewczętom, ażeby w nich uczucia cnoty, honoru, obyczajności obudzić, wykształcić je na pożytecznych członków towarzystwa i podać im sposobność przyozdobienia się najzaszczytniejszym wieńcem kobiety, wieńcem pani domu i matki. Szlachetne jéj towarzyszki podjęły gorąco tę myśl, odrazu zebrało się ich 50. Miłosierdzie, dobroczynność, osuszanie łez, gojenie ran, toż to apostolstwo kobiety. Uorganizowały klub, wypracowały statuta, złożyły na początek potrzebny fundusz z własnych środków.

Ponieważ interesa były nieraz trudne i poplątane, uciążliwe poszukiwania w najodleglejszych zakątach miasta — wynikło ztąd, że te panie kilka razy na tydzień musiały się schodzić. Jeżeli się zejdzie więcéj jak dwóch Francuzów, mówi przysłowie, muszą tam być zaraz cukierki i łakocie, ale jeżeli ich jest dziesięciu, to już restauracyja i teatr są konieczne. Gdzie znowu kilku Anglików się zejdzie, muszą tam zaraz być karty, gazety, nudy, splin. Tak też było i w klubie *Ashton*. Miłosierne damy załatwiwszy interesa, poczęły politykować, czytały gazety, krytykowały mężczyzn, odczytywały sobie nawzajem romanse własnego wyrobu; lecz wstęp do tego klubu miały tylko damy, z sfer arystokratycznych. Wkrótce też zebrały się filantropki o mięszanéj krwi i założyły sobie „klub śledziowy“.

„Śledziowy klub żeński“ wziął sobie za zadanie opiekę i karmienie niemowląt, których matki w fabrykach pracują. To był początek zakładów zwanych *crèches*. Klub ten zmienił z czasem szlachetną tendencją, niemniéj jednak nieustraszone 500 kobiet schodziły się raz na tydzień i bawiły doskonale.

Związek starych panien, nazwany grzeczniéj klubem Amazonek, zawdzięcza swoje powstanie odważnéj dziewczynie 45cioletniéj, która pomimo bogactwa, wysokiego urodzenia, niegdyś i piękności, pozostała nieprzyjaciółką męzkiego rodu: *Miss Urgon* jedynaczka milionera w City, zakochała się w krawczyku, który jéj również był wzajemny. Jednak zuchwalego pretendenta do ręki córki zrzucił p. *Urgon* ze schodów — ten z rozpaczy ożenił się z kucharką; za co p. *Urgon* podarował mu 500 t. szt.; lecz panna odtąd raz na zawsze miłości się wyprzysięgła. I dotrzymała słowa, nawet gdy po śmierci ojca stała się panią ogromnego majątku. Zebrała około siebie legion towarzyszek losu i założyła klub Amazonek. Aby zostać członkiem tego klubu, musi każda dama nieposzlakowanych obyczajów, przyzwoitego wychowania i właścicielka jakiego takiego mająteczku wykazać się, że przynajmniéj trzech mężczyzn o jéj rękę się starało i że ich dobrowolnie odpaliła. Celem tego stowarzyszenia jest, podawać pomocną rękę kobietom osamotnionym, otworzyć schronienie, dające im mieszkanie, opiekę itd.

Panna *Urgon* założyła i dziennik, w którym omawiane były interesa stanu, przez osoby fachowe — lecz ten dziennik ustał wkrótce i to nie z braku funduszów, współpracowniczek i prenumeratorek, ale zakłuły go na śmierć dowcipy dzienników humorystycznych.

Statuta klubu Amazonek nakładają na uczestniczki obowiązek wiecznego panieństwa. Od kilkunastu lat jak istnieje, dopiero trzy razy przywdział klub podług statutów żałobę po uczestniczkach, które zdezertowały do obozu małżeńskiego. Pierwszy raz, gdy *Miss Braun*, 51-letnia dama poszła za mąż za starego kapitana okrętu, z którym jednak tak nieszczęśliwie żyła, że samobójstwem zakończyła życie. Jéj obraz wisi jako odstraszający przykład w lokalu klubu. Drugą była *Miss Dolrymple*. Była to dama równie jesienna, lecz zakochał się w niéj pewien 24-letni gentleman, bardzo bogaty; pobrali się i żyją szczęśliwie z liczném rodzeństwem. Trzecia *Miss Smith*, udała się do Krymu, jako opiekunka chorych i

jeden oficer angielski, którego pielęgnowała, zakochał się w niej, ożenił się — zanim jednak do domu powrócić mogli, umarł wskutek ran. *Miss Smith* żyje jako wdowa w Sheffield, cieszy się ogólnym szacunkiem, z wyjątkiem klubu, który ją z list swoich wykreślił.

Jest jeszcze „klub przeciw-krynolinowy“, na którego chorągwi napisano: „śmierć krynolinom“, liczy on przeszło 2000 stałych uczestniczek; — i mnóstwo innych klubów w każdém mieście.

Z. W. E.

Opis ryciny mód i krojów

Dzisiejsza rycina przedstawia piękne ubrania damskie i dziecinne, zastosowane do obecnéj pory roku.

Osoba pierwsza nosi krótki, lekki i wygodny paletocik wiosenny, bez wcięcia w stanie, suto szmuklerską krepiną obszyty, okrągły kapelusik ryżowy i długą klinową i obszerną suknię.

Druga figura przedstawia chłopczyka w stroju szkockim. Krótka zupełnie wolna katanka, zpod któréj wychodzi szkocka wełniana spodniczka z takiemiż krótkiemi majtkami.

Trzecia figura przybrana w piękny strój codzienny. Suknia i paletocik z jedwabnéj materyi jasnéj u któréj brzegi i szwy są gustownie garnirowane. Kapelusik z długiemi szarfami uzupełnia strój. Krój tego paletocika zamieszczony na arkuszu krojów w zmniejszeniu

Osoba czwarta. Dziewczynka 10 — 12 lat ma krótką suknią i paletocik z jednakiéj materyi, obszyte krajem krepinką i guziczkami. Krój sukni dołączony w zmniejszeniu na arkuszu krojów.

MODY.

Z ustaleniem się mody, jest naszą powinnością Szanownym Czytelniczkom niektóre nowości używane w téj porze roku, opisać.

Jako nowość polecamy np. k r a w a t k i damskie, naśladujące broszki złote. Są one z aksamitek, garnirowane wisiorkami z paciorek lub wstążek z końcami haftowanemi. Fig. 15 — 16. przedstawia takie krawatki, gdyż nawet z drobiazgowego opisu niemożnaby dokładnie zrozumieć. Również nowe jest ubranie katanek i żakietów z dwoma rzędami paciorek mniejszych i większych, które można w różne desenie przeszywać, np. w kwiaty takie jak to jest na arkuszu w **naturalnéj wielkości.**

Obszycie krajem może być zastosowane do wyż wspomnionego wyszycia, lecz trzeba uważać, by nie wyglądało zanadto napchane.

Dobrze do tego użyć jeden rząd dużych paciorków przyszytych od brzegu o 1 centimeter, brzegi mogą być w zęby okrągłe lub kończaste wycięte, o ile materyi wystarcza. Z początku była obawa, że obszycie paciorkowe nie utrzyma się długo, teraz obawa ta znikła, gdyż widzimy w najpierwszych magazynach sznury kolorowe i szutazie mięszane z paciorkami oraz paciorki używane jako ubranie do toalety damskiéj, co i na przyszłość używane będzie. Nadmieniamy jeszcze, że stany i w ogóle całe suknie ubierają paciorkami.

Do żakietów, katanek i paletotów używają zamiast gipiur, frandzli jedwabnych z paciorkami.

Krój ubrań wierzchnich jest dotąd półwcinany; krótkie żakiety podobne do krótkich paletotów, a często obydwa pod jedną nazwą są używane, dołączamy na naszym arkuszu krojów.

„Że niema nic nowego pod słońcem“, moda teraźniejsza zadaje temu kłam, gdyż Paryżanie postarali się o coś zupełnie nowego. Są to króciuchne katanki haftowane na szfach i krajem kolorowemi jedwabiami w arabeski przyozdobione i czemś co dotąd nie było. To „coś“ jest mała kieszonka na jednéj stronie piersi, na któréj kolorowemi jedwabiami haftowany 3 cale wysoki, rybak w ubraniu holenderskiém jest umieszczony. Po każdéj stronie katanki są li dla ubrania téjże umieszczone 10—12tu guzików.

Pozostaje nam wspomnieć o kapeluszach, których kształt ocenić jest niepodobieństwem.

Wszełkie wynalazki, które nie pochodzą z dawniejszéj mody, przyjmują się i są uważane za nowość. Na wielkości jeszcze straciły, że zdaje się, iż z czasem zupełnie znikną. Ubieranie kapeluszy paciorkami jest bardzo w modzie, do tego paciorkami dużemi, które wyglądają jak guziki. Lecz i do tego moda nowość przyniosła: ot' wykluczono szarfy przy kapeluszach, a natomiast otacza naokoło twarz garnirunek 5—6ciu centimetrów szeroki z różnokolorowych paciorków. Ma to podobieństwo do ramek około obrazka.

Ładny jest także gatunek trawy, mającéj tło zielone lub w innych kolorach, używanéj do ubrania kapeluszów.

Jako nowość zalecamy krótką dość obszerną katankę z grubéj białéj materyi wełnianéj, wszystkie kroje i szwy są w drobne ząbki wycięte i podłożone kolorowém suknem w dobrym gatunku, obydwa te sukna są kolorowym jedwabiem maszyną szyte. Można na katankę użyć sukna białego, podłożenie z sukna niebieskiego i uszyć stębnym grubym pąsowym jedwabiem, lecz niebieskie sukno musi występować na pół centimetra.

Także przyozdabiają takie katanki kwiatami z kolorowego jedwabiu, które na brzegach i szwach są umieszczone.

Do grubych wełnianych materyj nie używa się paciorków, zaś zamiast mlecznych i czarnych paciorków, używają kryształowych, lecz tylko do jednobarwnych materyj.

OPIS KROJÓW.

Fig. 1—3. **Katanka w naturalnéj wielkości** 36 – 37miu centimetrów pół szerokości piersi. Krój téj katanki jest dość obszerny, pomimo wcięcia w plecach i boczku. Z przodu spięta na jeden rząd guzików. Brzegi są pojedyńczo lamowane, lecz można dać sutsze wyszycie.

Fig. 4—6. **Modny stan damski**. Krój ten jest dla każdéj dobrze zbudowanéj osoby stosowny, używają do tego miary szerokości piersi podług sposobu dołączonego w Nrze 1. tego roku. Ubieranie stanów jest różne, zostawiamy więc pole wszelkim wymysłom, gdyż co jest ładne i udatne, to jest modne. Tylko przy stanach z ciężkiéj jedwabnéj materyi nie potrzeba ubrania, gdyż już sama materja jest dosyć strojną. Zwracamy uwagę Sz. Czytelniczek, że „wszytki“ przy stanach z przodu, nie zachodzą już tak w górę jak dawniéj, powodem tego jest zarzucenie wysokich sznurówek, przez co teraz gors zostaje w naturalném swém położeniu. Daléj stan teraźniejszy jest o wiele krótszy jak przedtém bywały.

Fig. 7—10. **Krój ubrania wierzchniego** osoby trzeciéj na rycinie. Ubranie to jest dosyć wcinane i z kolorem sukni zgodne i przyozdobione tak jak suknia.

Fig. 11—14. **Ubranie wierzchnie** osoby czwartéj na rycinie. Jest to ubranie dla młodych panienek bardzo stosowne. Dołączony krój w zmniejszeniu jest dla panienki mającéj pół szerokości piersi 37 centimetrów, lecz można go do 40 centimetrów z pomocą miary powiększyć.

Fig. 15—16. Dwie **krawatki damskie.** Polecamy je jako ubranie na szyję, stosowne do kapeluszów bez szarf.

Fig. 17 — 25. Różne **wzory kapeluszów** i innych strojów damskich. Na ogólne żądanie dołączamy o ile można dokładnie, różne wzory. Osoby w tym zawodzie biegłe, zrozumieją je z łatwością, dla tego opuszczamy opis każdego wzoru osobno. Zresztą osoby nieumiejące robót modniarskich, niemoglyby i z opisu korzystać; — zaś umiejące, nie potrzebują opisu, tylko wzór.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.